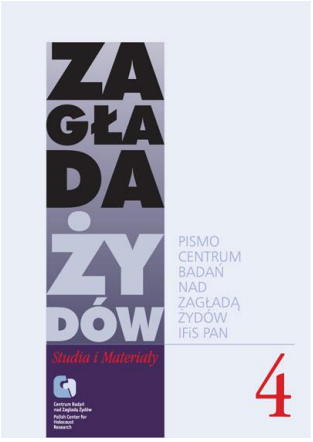


Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 4 (2008)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Mariawici i Żydzi – rzecz o pomocy

The Mariavites and the Jews – on help

Urszula Grabowska

redakcja@holocaustresearch.pl

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.282
Strony/Pages: 442-465

CC BY

OPEN ACCESS

Urszula Grabowska

Mariawici i Żydzi – rzecz o pomocy

Mariawityzm to wyznanie, które około stu lat temu, w dość dramatycznych okolicznościach, wyodrębniło się z polskiego Kościoła rzymskokatolickiego. Rzut oka na genezę i historię jego rozwoju konieczny jest dla zrozumienia późniejszych stosunków między mariawitami a Żydami, szczególnie w okresie okupacji. Tym bardziej że opinie na temat mariawityzmu i mariawitów, pokutujące w polskim społeczeństwie, są na ogół powierzchowne i stereotypowe[1]. Korzenie mariawityzmu sięgają końca XIX wieku, kiedy po kasacie klasztorów zgromadzenia zakonne powstawać mogły jedynie w formie ukrytej, jako tzw. stowarzyszenia. Zakonnicą jednego z nich była Feliksa Kozłowska (imiona zakonne: Maria Franciszka)[2], która w roku 1887 założyła zgromadzenie sióstr, oparte na regule Św. Klary. Przerodziło się ono później w Zgromadzenie Sióstr Mariawitek. 2 sierpnia 1893 r. Maria Franciszka Kozłowska po raz pierwszy doznała objawienia, na mocy którego powołała ukryty zakon męski o nazwie Zgromadzenie Kapłanów Mariawitów. Zapoczątkowany przez nią ruch religijny rozwijał się, obejmując coraz większą liczbę młodego duchowieństwa oraz wiernych, aż w 1903 r. utworzyła Związek Mariawitów Nieustającej Adoracji Ubłagania skupiający kapłanów, siostry, tercjarzy i bractwo. Nazwa ruchu pochodzi od łacińskiego: *Mariae vitam (imitans)* – życie Marii (naśladujący)[3].

Mariawityzm przesiąknięty był duchem franciszkańskim i opierał się na trzech regułach Św. Franciszka. W założeniu miał nieść odnowę życia chrześcijańskiego, przywracać czystość obyczajów wśród kleru, był swego rodzaju powrotem do źródeł. Od strony teologicznej głównym zadaniem związku było szerzenie kultu Chrystusa Eucharystycznego oraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Już od początku, ruch mariawicki doznawał szykan ze strony hierarchii kościelnej. Utrudniano księżom mariawitom pracę duszpasterską, kwestionowano autorytet Założycielki

[1] Pierwsze próby rzetelnego i bezstronnego spojrzenia na mariawitów pochodzące od przedstawicieli Kościoła rzymskokatolickiego pojawiają się dopiero w okresie powojennym: m.in. A. Grzegorczyk, *Nasi bracia mariawici*, „Więź", 1965, nr 12; Ks. D. Olszewski, *Mariawityzm, początki i rozwój*, „Więź" 1986, nr 2–3; Ks. E. Warchoł, *Starokatolicki Kościół Mariawitów okresie II Rzeczpospolitej*, Sandomierz 1997.

[2] Żyła w latach 1862–1921, zwana później Założycielką lub Mateczką.

[3] Zob. S. Rybak, *Mariawityzm – studium historyczne*, Warszawa 1992, s. 13.

i autentyczność jej objawień. Mariawitów nazywano pogardliwie mankietnikami, kozłami lub kozłowitami i częstą praktyką było meczenie za nimi na ulicy[4].

Próby legalizacji związku i zatwierdzenia go przez Stolicę Apostolską nie odnosiły skutku i 4 września r. 1904 Kongregacja Św. Oficjum wydała dekret nakazujący rozwiązanie Związku Kapłanów Mariawitów wraz z bezwzględnym zakazem utrzymywania jakichkolwiek kontaktów z „niejaką Felicją Kozłowską". W roku 1906 – w encyklice *Tribus circeter* – papież Pius X potępił samowolę, propagowanie niewczesnej pobożności i... podporządkowanie się kobiecie. 31 grudnia 1906 r. Maria Franciszka Kozłowska oraz ks. Jan Kowalski, przełożony Zgromadzenia Księży Mariawitów, zostali z polecenia papieża wyklęci i ekskomunikowani. Większość księży mariawitów i wiernych, zwolenników ruchu, opowiedziała się za nimi. Datę tę uważa się za dzień ostatecznego zerwania mariawitów z Kościołem rzymskokatolickim i początek ich samodzielności. Związek Mariawitów, początkowo zalegalizowany jako sekta, dopiero w roku 1912 doczekał się oficjalnego przyznania mu statusu związku religijnego na równi z innymi, prawnie uznanymi Kościołami chrześcijańskimi[5]. Dla mariawitów nie oznaczało to wcale, że odnaleźli bezpieczne miejsce w pejzażu religijnym swoich miasteczek i wsi. Zarówno w początkach istnienia mariawityzmu, jak i w okresie rozwoju i kształtowania się Kościoła, byli obiektem nieustannych ataków, agresji fizycznej i moralnej.

Prześladowania mariawitów w początkowym okresie istnienia ruchu

Odmienność religijna mariawitów była już sama w sobie dostatecznym powodem agresji ze strony tzw. „prawowiernych" katolików. Sytuację pogarszała jednak sporna kwestia własności majątku kościelnego. Nastąpiły wówczas prawdziwe walki o kościoły i plebanie, które doprowadziły do serii krwawych pogromów na mariawitach. Obfitował w te wydarzenia rok 1906, kiedy status prawno-majątkowy Związku Mariawitów nie był jeszcze określony[6]. Co charakterystyczne, prawie wszędzie krucjacie przeciw mariawitom przewodzili lub co najmniej aprobująco przyglądali się księża rzymskokatoliccy[7].

A oto jak wyglądały rozruchy w Grębkowie w Siedleckiem: „...rozpoczęła się zacięta walka. Katolicy z dziką nienawiścią atakowali garstkę naszych. Zarzucono ich gradem kamieni; pojmanych bito bez litości dotąd, aż przestali dawać oznaki życia. Nadto katolicy strzelali do maryawitów z rewolwerów, dubeltówek i pistoletów. Strzelanie nie ustawało przez dość długi czas. Nasi nie mieli broni i nie stawili żadnego oporu. Wobec ciągłych salw z palnej broni szukali ratunku w ucieczce. Ka-

[4] W Płocku zdarzało się to jeszcze w latach siedemdziesiątych XX w., co wiadomo z relacji ks. M. Zenona Miklusa, ówczesnego kleryka w płockim seminarium mariawickim.

[5] S. Rybak, *op. cit*. s. 60.

[6] Pogromy mariawitów: Stryków k. Łodzi – 11 III 1906 r., Błonie k. Warszawy – 12 IV 1906 r., Leszno k. Warszawy – 22 IV 1906 r., Smagorzewo k. Płocka – 19 VI 1906 r., Grębków w Siedleckiem – 12 VII 1906 r.

[7] „Maryawita" 1910, nr 32, s. 506; „Kurier Polski" 23 IV1906, nr 110.

tolicy ścigali ich, wyszukiwali maryawitów po domach i pojmanych bili aż do utraty zmysłów. Jednocześnie «prawowierni» katolicy przystąpili do rozbijania domów maryawickich. [...] Największe zdziczenie okazali katolicy w domu Witalisa Gierłowskiego. Wyłamali i porozbijali wszystkie okna. Wpadli następnie do wnętrza domu i stamtąd wszystkie rzeczy wyrzucali na ulicę, podczas gdy reszta towarzyszów tłukła je lub rozdzierała na drobne kawałki. Pościel rozszarpywano i pierze puszczano w powietrze. Wyrzucono także kufer z mieszkania, w którym zachowane były pieniądze. Katolicy będący zewnątrz w oka mgnieniu rozbili go drągami i setki ich rzuciły się po zdobycz. Jedni przez drugich chwytali pieniądze i napychali niemi kieszenie [...]. Gdyby nie pomoc wojska w czasie pogromu w Grębkowie, a stąd obawa odpowiedzialności sądowej – wyrżnięto by maryawitów niechybnie w całej okolicy”[8]. Powyższy opis prawie nie wymaga komentarza. Obrazy rozbijanych szyb, wywlekania ofiar z mieszkań i katowania, rabunku i dewastacji znane są doskonale z historii. A jednak rozpruwana pościel i pierze „puszczane w powietrze” kojarzą się przede wszystkim z pogromami ludności żydowskiej. O pogromach mariawitów wiadomo znacznie mniej, chociaż jak pokazują przytoczone przykłady, mechanizm działania rozjuszonego tłumu tak wobec Żydów, jak i mariawitów był zaskakująco podobny. Notabene niektóre z nich odbywały się niemal w tym samym czasie i w niewielkiej odległości od siebie[9]. Ze względu na relacje mariawicko-żydowskie wart uwagi jest końcowy fragment tej relacji: „Piotr Zawłocki i Wincenty Grzymała zdołali umknąć przez pokoje i stajnię do Żyda, mieszkającego pod jednym dachem z Gierłowskim (Gierłowski utrzymuje zajazd w Grębkowie). [...] Znalazłszy schronienie u Żyda, Zawłocki i Grzymała obserwowali stamtąd, co działo się w miasteczku”[10]. Zdarzało się, oczywiście, że niektórzy „prawowierni” uprzedzali krewnych i znajomych mariawitów o nadciągającym niebezpieczeństwie. I nie tylko oni, bo: „Moszek Grutmann, izraelita z Grębkowa, również słyszał od «prawowiernych» katolików, że postanowili urządzić pogrom na Grębkowskich maryawitów. Grutmann powtórzył tę wiadomość naszym parafianom”[11].

W prasie z tego okresu napotykamy skrajnie różne interpretacje tych samych wydarzeń, zależnie od tego, czy jest to prasa mariawicka, czy katolicka, bądź prasa codzienna, reprezentująca stanowisko Kościoła rzymskokatolickiego[12], dlatego trudno zrekonstruować ich rzeczywisty obraz. Nie ulega wątpliwości, że w krwawych zajściach ofiary były po obu stronach i gdyby nie wielokrotna ingerencja wojska, byłoby ich zapewne znacznie więcej. Noc sylwestrowa 1906/1907 stanowiła cezurę w rozwoju mariawityzmu. Wtedy bowiem, nakazem dekretu rządu carskiego, mariawici opuścili wszystkie kościoły i plebanie, oddając je rzymskim katoli-

[8] „Maryawita” 1908, nr 19, s. 302–303.

[9] Pogrom Żydów w Białymstoku – 1–3 VI 1906 r. i w Siedlcach – 7 IX 1906 r. Pogromy mariawitów – patrz przyp. 6.

[10] „Maryawita” 1908, nr 19, s. 303.

[11] *Ibidem*, s. 335, 336

[12] „Przegląd Katolicki” 1908, rubryka Kronika Kościelna Wewnętrzna; „Kurier Polski” 1906, 13 III, 23 IV, 10 VII, 25 VII.

kom. Dalszy gwałtowny rozwój mariawityzmu stanowi fenomen bezprecedensowy w polskim życiu religijnym.

Rozkwit życia mariawickiego

Początki samodzielnego istnienia Kościoła mariawitów cechuje niezwykła dynamika rozwoju, duża liczba powołań, ofiarność i zaangażowanie wiernych. Od pamiętnej nocy zimowej 31 grudnia 1906 r. – do końca 1908 r. powstały lub były na ukończeniu 54 kościoły i 166 kaplic. Duchowieństwo mariawickie składało się wówczas z 34 księży i 120 sióstr zakonnych[13]. Ponieważ mariawityzm skierowany był przede wszystkim do ludzi prostych – oprócz swej misji religijnej, obejmował szeroko pojętą działalność społeczną, oświatową, kulturalną, dobroczynną i gospodarczą. Nowo budowane domy parafialne niebawem stały się prężnymi ośrodkami życia społeczności mariawickich. Powstawały tam szkoły, biblioteki, ochronki, kuchnie dla ubogich, piekarnie, masarnie i wszelkiego rodzaju zakłady rzemieślnicze: krawieckie, dziewiarskie, stolarskie, koszykarskie, tkackie. Świątynia Miłosierdzia i Miłości w Płocku, wybudowana w latach 1911–1914, stała się głównym ośrodkiem kultu mariawickiego. Do roku 1914 Kościół mariawitów liczył 100 tys. wiernych i zyskiwał wciąż nowych zwolenników.

W latach międzywojennych Kościół Starokatolicki Mariawitów[14] przeżył szereg zmian, które po śmierci Założycielki w roku 1921 zaczął wprowadzać jej następca, arcybiskup Kowalski. Owe zmiany były szokujące często dla samych mariawitów, a w znakomitej większości społeczeństwa polskiego wzbudzały oburzenie. Niektóre innowacje pozostały w mocy do dziś (Komunia pod dwiema postaciami, rezygnacja ze spowiedzi ustnej), inne – jak odprawianie mszy po polsku, zalazły się także wśród zmian posoborowych w Kościele rzymskokatolickim. Jednak kontrowersyjne było wprowadzenie tzw. „mistycznych" małżeństw kapłanów z zakonnicami, wprowadzenie kapłaństwa kobiet oraz tzw. kapłaństwa ludowego. Skutkiem narastającego niezadowolenia był rozłam, który wstrząsnął mariawityzmem. W jego wyniku abp. Kowalski został odsunięty od władzy i wraz ze swoimi zwolennikami zmuszony do opuszczenia świątyni płockiej. Powstały wówczas dwa oddzielne Kościoły mariawitów funkcjonujące do dziś[15].

Dla rozważań dotyczących relacji mariawicko-żydowskich w okresie międzywojennym i podczas okupacji podział ten jednak nie jest istotny. Ważna jest moralno-duchowa formacja mariawitów, która ukształtowała się na długo przed rozłamem, pod wpływem nauczania i charyzmatycznego przykładu Mateczki. Dlatego oba

[13] K. Mazur, *Związki wyznaniowe w województwie siedleckim*, Siedlce 1996, s. 121.

[14] Taką nazwę nosił Kościół mariawitów od 1921 r.

[15] Starokatolicki Kościół Mariawitów z biskupem Feldmanem na czele, z siedzibą w Płocku i Katolicki Kościół Mariawitów z abpem Kowalskim i z siedzibą w Felicjanowie k. Płocka, (ten odłam zachował większość reform abpa Kowalskiego, m.in. kapłaństwo kobiet).

Kościoły mariawitów w stosunku do Żydów i wszystkich prześladowanych niosły to samo chrześcijańskie przesłanie.

Współistnienie mariawitów i Żydów do wybuchu II wojny światowej

Trudno tu dokonać wyczerpującego studium dotyczącego wzajemnych relacji mariawitów i Żydów w okresie poprzedzającym okupację hitlerowską. Dlatego poprzestanę na przedstawieniu przykładów ilustrujących wzajemne kontakty tych dwóch grup. Wszystkie większe miasta będące ważnymi ośrodkami mariawityzmu: Warszawa, Łódź, Płock i Lublin, stanowiły jednocześnie wielkie skupiska żydowskie i choćby z racji bliskiego sąsiedztwa sprawiały, że wzajemne kontakty były nieuniknione. Były to głównie kontakty handlowe, ale nie tylko. Z punktu widzenia mariawitów decydujący był tu wpływ nauk Założycielki, która stanowiła dla swych współwyznawców najwyższy wzór i niepodważalny autorytet. Maria Franciszka Kozłowska nauczała miłości bliźniego realizowanej w każdej sytuacji, „bez względu na narodowość, wyznanie, przekonania polityczne i stosunek do mariawityzmu”[16]. Ten właśnie duch miłości bliźniego i tolerancji panował we wszystkich mariawickich ośrodkach parafialnych, w ochronkach, szkołach, przedszkolach, stołówkach dla ubogich itd. I tak w Płocku już w 1915 r., kiedy tylko front przesunął się na wschód, siostry mariawitki założyły przedszkole i szkołę podstawową, do których przyjmowano dzieci bez względu na wyznanie i narodowość. Ze względu na tolerancję sióstr, uczęszczały tam także dzieci żydowskie.

Źródłem, które kilkakrotnie wspomina kontakty autora i jego rodziny z zakonnicami mariawickimi, jest pisany podczas okupacji pamiętnik Żyda płockiego, Symchy Gutermana. Ten wyjątkowy dokument (czy też jego część), zamknięty w butelce i ukryty pod podłogą jednego z wojennych mieszkań Gutermanów w Ostrowcu, odnaleziony został dopiero w 1978 r. W Polsce ukazał się nakładem Towarzystwa Naukowego Płockiego[17]. Guterman obdarzony był talentem literackim, a także przedsiębiorczością i zmysłem technicznym. Jako właściciel zakładu dziewiarskiego często proszony był przez siostry mariawitki o naprawę maszyn w ich warsztacie. Znajomość z mariawitami miała się okazać dla jego rodziny zbawienna i decydująca o przetrwaniu w czasie okupacji.

W Cegłowie siostry prowadziły szkołę. Chodziły tam także dzieci żydowskie, m.in. dwaj synowie pani Frajdy, właścicielki sklepu bławatnego[18]. W Łodzi kościół mariawicki pod wezwaniem Św. Franciszka z Asyżu wraz z budynkami parafialnymi i ogrodem mieścił się przy ulicy Franciszkańskiej 27, w dzielnicy zamieszkanej w dużej części przez Żydów, która w kwietniu 1940 r. znalazła się w obrębie get-

[16] S. Rybak, *op. cit*., s. 79.

[17] S. Guterman, *Kartki z pożogi*, Płock 2004. We wstępie wzmianki na temat klasztoru ss. mariawitek w Płocku.

[18] Z wywiadu autorki z Hanną Kaczorek, mariawitką z Cegłowa, styczeń 2008.

ta[19]. Siostry mariawitki prowadziły tam ochronkę, która funkcjonowała praktycznie do końca 1939 r. Pod ich opieką pozostawało przed samą wojną około 205 dzieci (przeważnie podrzutków), wśród nich około 50 dzieci wyznania mojżeszowego. Dzieci żydowskie, na polecenie władz niemieckich, zabrano z zakładu najwcześniej, już 18 listopada 1939 r., na ul. Północną w Łodzi, dzieci polskie ewakuowano do Płocka[20]. Kiedy w 1940 r. klasztor wysiedlono a kościół mariawicki zamieniono na magazyn, „bracia Żydzi" ocalili drewnianą konstrukcję ołtarzową oraz stojącą przed kościołem figurę Matki Boskiej, obudowując je deskami. Jest jeszcze inna historia: kiedy w 1910 r. Założycielka z biskupami wizytowała parafie w okolicach Łodzi, wśród witających w Łodzi obecny był zwierzchnik religijny tamtejszej ludności żydowskiej" [21].

W Wiśniewie, gdzie była duża parafia mariawicka, po zakupy jeździło się do Żydów, nawet kiedy wprowadzono bojkot żydowskich towarów. W Płocku, w latach trzydziestych, dr Kopystyński, ksiądz mariawicki, znajdował się na czarnej liście pomagających Żydom[22]. Istniała jednak też sytuacja odwrotna. „Wiadomości Mariawickie" relacjonują fakt, kiedy do chorego, leżącego w szpitalu Poznańskich przy ul. Drewnowskiej w Łodzi, wezwano księdza mariawickiego z przenajświętszym sakramentem. Tam jednak spotkały go drwiny i szyderstwa ze strony personelu. Zupełnie inne stosunki panowały w szpitalu tak zwanym „żydowskim" przy ul. Targowej, gdzie chorych obsługiwali wyłącznie starozakonni. Tam mariawici udawali się znacznie chętniej[23]. W Jędrzejowie koło Mińska Mazowieckiego mieszkało w okresie poprzedzającym wybuch II wojny światowej około 20 rodzin żydowskich. Prócz społeczności żydowskiej wieś niemal po połowie dzieliła się na rzymskich katolików i mariawitów. Centrum życia religijnego tych ostatnich stanowiła mała kapliczka u zbiegu dróg, o którą dbała zakonnica – siostra Makryna. Znajomość, jaką nawiązałam z nią wiele lat później, stała się dla mnie impulsem do badań nad pomocą mariawitów dla Żydów w czasach Zagłady.

Mariawici okresu okupacji

Siostra Makryna

Był rok 1986, siostra liczyła już sobie ponad dziewięćdziesiąt lat, a jednak wciąż znać w niej było niezłomną wolę, silny charakter, pobożność i dobroć. Natalia Siuta urodziła się w 1895 r. w Niesułkowie koło Łodzi. Wśród olbrzymiej większości niesułkowskich parafian, którzy przeszli na mariawityzm, była i jej rodzina. Natalia,

[19] *Litzmannstadt – Getto: Ślady – przewodnik po przeszłości*, Łódź 2004, s. 92.

[20] *Domowa książka meldunkowa Parafji Marjawickiej Św. Franciszka z Assyżu*.

[21] Z wywiadu z biskupem naczelnym Kościoła Starokatolickiego Mariawitów, M. Ludwikiem Jabłońskim, Płock, styczeń 2008 r.

[22] Z wywiadu z ks. M. Wawrzyńcem Rostworowskim, nestorem duchownych tego Kościoła, Płock, styczeń 2008 r.

[23] *Tolerancja w szpitalu*, „Wiadomości Maryawickie" 1909, nr 8, 61.

jako jedyna z rodzeństwa, poszła do klasztoru. Podczas I wojny światowej wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Mariawitek w Płocku. Otrzymała tam imię zakonne Makryna. Po ślubach zakonnych otrzymała święcenia diakonalne, co było pierwszym stopniem w hierarchii kapłańskiej kobiet. W czasie pobytu w Płocku nauczyła się też kroju i szycia, co miało stać się jej głównym źródłem utrzymania przez resztę życia[24]. A spędziła je siostra Makryna właśnie w Jędrzejowie koło Mińska Mazowieckiego. W małej izdebce, przylegającej do kapliczki mariawickiej przeżyła – poczynając od roku 1930 – z górą pięćdziesiąt lat. Była przede wszystkim strażniczką i gospodynią kaplicy. Jako diakonisa mogła przewodniczyć modlitwom, odprawiać nabożeństwa adoracji czy gorzkich żalów, a nawet udzielać komunii świętej, i niewątpliwie robiła to co najmniej do roku 1935[25].

Siostra Makryna szybko znalazła przyjaciół wśród miejscowych ludzi, bo żyła życiem swoich współwyznawców. Pomagała im w wychowaniu dzieci i w pracach domowych. Szyła, a najlepiej wychodziły jej męskie koszule. W ogrodzie hodowała kwiaty do dekoracji ołtarza. Trzeba tu podkreślić, że sytuacja siostry Makryny była dość specyficzna. Otóż w odróżnieniu od innych zakonnic mariawickich, które zwykle pracowały przy parafiach w liczbie kilku lub kilkunastu, ona przez wiele dziesiątków lat pędziła przy kapliczce życie samotne. Stąd też prawdopodobnie jej szczególnie silny związek z mieszkańcami Jędrzejowa. A sąsiadów miała siostra różnych. Po jednej stronie drogi mieszkało wiele rodzin mariawickich: Gójscy, Chrościccy i Wąsowscy, a po drugiej, w drewnianym domu z werandą mieszkali dwaj bracia z licznej w Jędrzejowie rodziny Gewisów: Srul i Jojna z rodzinami. Obaj handlowali nabiałem i dobrze im się powodziło. A każdy z nich, co ciekawe, miał córkę Frajdę i drugą, Libę i syna Icka – na cześć dziadków: Icka Nusyna i Szosi Frajdy, no i prababci, Łyby[26]. A co jeszcze ciekawsze, były i inne Frajdy i Liby i inni Ickowie, czy to u Chaima Gewisa, u Jankla, czy u ich siostry, Sury, która wyszła za Szmula Wajsenbluma. Wszystkie te dzieci żydowskie i dzieci niemieckich kolonistów z Pełczanki, dzieci rzymskie i mariawickie chodziły razem do szkoły, a po drodze czasem odwiedzały siostrę Makrynę.

II wojna światowa w sposób dosłowny wypaliła piętno na obliczu wsi. I to poczynając już od września 1939 r. Jędrzejów leży przy ważnym szlaku komunikacyjnym, tędy maszerowały wojska i przemieszczały się wojskowe kolumny pancerne. Już w pierwszych dniach wojny w wyniku bombardowania wiele zabudowań spłonęło. Kapliczka jednak ocalała, życie musiało toczyć się dalej. Siostra Makryna bezbłędnie wyczuła potrzebę czasu. Kontakt z organizacją podziemną nawiązała prawdopodobnie już w roku 1942 i brała udział w pracy konspiracyjnej jako łączniczka utworzonej w grudniu tego roku Rady Pomocy Żydom „Żegota". Działała jako bli-

[24] Zgodnie z zasadami swego zgromadzenia siostry mariawitki zobowiązane były do utrzymywania się z własnej pracy.

[25] Po rozłamie w 1935 r., kapłanki tego odłamu wyrzekły się swoich uprawnień kapłańskich i powróciły do pomocniczej i służebnej roli sióstr zakonnych.

[26] Liba i Łyba – dwie formy tego samego imienia.

ska współpracownica prezesa tej organizacji, Juliana Grobelnego „Trojana". Było to o tyle ułatwione, że mieszkał on wówczas w Cegłowie, przy drodze do Jędrzejowa. Ponieważ siostra pozostawała w ścisłym związku z parafią mariawicką w Cegłowie, mogła więc kontaktować się z „Trojanem" nie budząc niczyich podejrzeń.

Sama tak o tym pisała już po wojnie: „Jestem siostrą zakonną. Mieszkam przy kościółku w Jędrzejowie od 1930 r. Znam wielu ludzi z okolicy. W czasie okupacji zgłaszali się do mnie znajomi Żydzi, którym w miarę możności pomagałam. Z polecenia pana Grobelnego dostarczałam swoim podopiecznym żywność, pieniądze"[27]. Śladami tej pomocy są pożółkłe karteluszki, pokwitowania sum otrzymanych przez siostrę na utrzymanie jej podopiecznych. Dla niepoznaki są one datowane o 10 lat wcześniej i tylko na jednym siostra się pomyliła:

> „Pokwitowanie Za utrzymanie Jadzi w ciągu 21 dni 420 zł (słownie czterysta dwadzieścia złotych) Otrzymałam 21 XII 42 r."[28].

W styczniu 1933 r. siostra kwituje odbiór 200 złotych i tysiąca, w lutym 10 i 5 złotych[29], na oddzielnych karteczkach:

> „Zł. 10.00 (dziesięć) od K. Żegoty za luty 1933 otrzymałam. Luty 1933, S. Makryna".
> „Zł. 1000 (tysiąc) […] przez Trojana u p. Jana na styczeń otrzymałam dla Kasy K. Żegoty. Styczeń 1933 r.".

Z końca grudnia 1932 (1942) pochodzą pokwitowania podpisane przez inne osoby:

> „Za utrzymanie Jadzi, za […] i 2 fotografie Siostry […] – 34,50 Trojan".

I kolejne, zawierające pozycje: „Leśni, […], Wilanów, Tramwaje, Zygelb." Razem na sumę 34,75 zł.[30] Jako „rozrachunek do dnia 31 XII 1933" podpisany przez J. Majewską.

Ostatni kwitek jest zapewne potwierdzeniem przez osobę ukrywaną, że pieniądze do niej dotarły: „Otrzymałam trzy tysiące złotych H. Szabłowska". Data dopisana ołówkiem już przez kogoś innego: „22 XII 1932"[31].

„Trojan", podobnie jak „Felicja" (Maurycy Herling-Grudziński) stosował system gromadzenia i opracowywania dokumentów ustalony przez RPŻ, gromadził kwity, prowadził stałą ewidencję wypłat. Po kontroli kwity szły do archiwum, które mieściło się w Warszawie na Boernerowie. Archiwum komórki „Trojana", zakopane

---

[27] AŻIH, 301/6129, relacja Natalii Siuty.

[28] Poprawione ołówkiem na 32.

[29] Prawdopodobnie rzeczywiste sumy zostały podzielone przez 100, co było praktykowane dla celów konspiracyjnych, podobnie jak cofnięcie daty o 10 lat.

[30] Tu także rzeczywista suma była stukrotnie wyższa.

[31] Znalezione w papierach siostry Makryny, 20 lat po jej śmierci. Dokumenty w posiadaniu autorki. Kwitki są tego samego rodzaju co kwity z komórki „Felicja", prowadzonej przez M. Herlinga-Grudzińskiego (zob. T. Prekerowa, *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942–45*, Warszawa 1982, s. 416–436).

w piwnicy, zaginęło wraz ze zniszczeniem budynku i nie udało się go odnaleźć[32]. Nie wiadomo, dlaczego kwity przechowywane przez siostrę Makrynę nie dotarły do „Trojana", lecz dzięki temu ocalały i stanowią namacalny dowód jej działalności konspiracyjnej.

W opowieściach mieszkańców Jędrzejowa o siostrze Makrynie i czasach okupacji raz po raz pojawia się postać Frajdy Gewis[33], dlatego warto przytoczyć tu relację samej siostry: „Był rok 1943, 8 grudnia wieczorem o godzinie 9 przyszła jedna z tych ściganych przez niemców – Frejda[34] Gewisówna. Była w okropnym stanie. Tego dnia była obława w Kałuszynie, cały dzień ci biedacy ścigani. Więc ta osoba, o której tu wspominam, wtenczas się uratowała w taki okropny sposób. Kilka godzin aż do zmroku stała w dole kloacznem. Wieczorem przyszła do nas do Jędrzejowa, który jest w odległości 6 km od Kałuszyna. Zziębnięta, śmierdząca, uwalana, jednym słowem straszny widok. Więc nagrzałam wody pomogłam się rozebrać i umyć, potem gorącej herbaty, następnie wysmarowałam terpentyną i do łóżka pod pierzynę. Poleżała kilka dni, ale to się długo nie dało ukryć, bo tu ją wszyscy znali. Pewnego dnia, kiedy sobie siedziała w pokoju a drzwi były uchylone, ktoś ją zobaczył i zaraz po wsi zaczęła się gadka, że siostra przetrzymuje Żydów. Więc ja już dłużej nie mogłam jej ukryć, bo mam bardzo szczupłe mieszkanie. Ona sama też widziała, że jest niebezpiecznie, więc poszła na drugą wieś, bo tam też miała dobrych znajomych, i tak miała być trochę to tu, to tam i mieliśmy nadzieję... aby tylko do wiosny, to potem będzie łatwiej. Porozmawiałam o niej z p. Grobelnem i ten wyrobił jej dowód na polskie nazwisko, z którem by mogła wyjechać gdzieś do pracy, ale ona nie miała odwagi, tylko sobie krążyła tu w swoich rodzinnych stronach, choć już z rodziny nie miała nikogo. Kiedy tylko przyszła do mnie, zawsze ją przenocowałam i nakarmiłam. A ostatni raz była u mnie w lutym 1944 r. Powiedziała, że idzie do tych swoich znajomych i już się więcej nie pokazała, co się z nią stało, to już nie mogłam się dowiedzieć"[35].

Zgodnie z przekazem powtarzanym przez mieszkańców Jędrzejowa, Frajda poszła przez pola do oddalonego o 2 km Aleksandrowa, gdzie „miała dobrych znajomych". Rodzina R. była winna jej ojcu pieniądze czy też miała część rzeczy na przechowaniu. Frajda rzeczywiście miała już „dobry" dokument i utlenione włosy i zamierzała jechać do pracy, z dala od stron, gdzie wszyscy ją znali. Przed wyjazdem chciała odebrać swoją własność. Niestety, z tej wyprawy już nie wróciła.

Doświadczenie pomocy udzielonej Frajdzie Gewis, zanim zaginęła, utrwaliło się w pamięci zbiorowej mieszkańców wsi na tyle mocno, że poza siostrą, jeszcze kilka innych osób przypisuje sobie tę zasługę. Może zresztą jest w tym część prawdy, jako że dziewczyna krążyła wokół sąsiedzkich obejść przez szereg tygodni. Pozostaje faktem, że bezpośrednie zetknięcie z Frajdą, do niedawna córką jednego z najbo-

[32] *Ibidem*, s. 140.

[33] Ur. w 1918 Frajda Rywka Gewis, córka Srula i Sury Łaji z Weneckich.

[34] Frajda i Frejda – dwie formy tego samego imienia.

[35] AŻIH, 301/6129.

gatszych jędrzejowskich Żydów, która po akcji likwidacyjnej w Kałuszynie wróciła do nich ledwie żywa i cała unurzana w fekaliach, wstrząsnęło tutejszymi ludźmi, unaoczniło im koszmar rozgrywający się przecież zaledwie o kilka lub kilkanaście kilometrów od nich[36] i sprawiło, że właśnie ją zapamiętali najlepiej. A siostra w swej relacji pisała dalej: „Wystarałam się też o mieszkanie dla krewnych dr. Ludwika Landauera[37]. Mieszkały tu legalnie zameldowane dwoje dzieci i ich opiekunka, starsza pani. Dziewczynka lat 14 nazywała się Zosia i młodszy chłopczyk Piotruś. Mieszkały w Jędrzejowie zdaje się, że więcej niż rok (już dokładnie nie pamiętam). Latem chodziłam z nimi do lasu na grzyby, żeby im się nie przykrzyło, przynosiłam im pieniądze, które mi dawał p. Grobelny na życie dla nich. Zdawało się, że do końca wojny jakoś sobie przeżyją, ale stało się inaczej. Pewnego razu przyjechała tu z Warszawy niejaka p. Górska, która zabrała ze sobą Piotrusia do Warszawy, a Zosia pojechała później. Ta ich opiekunka odradzała Zosi, żeby nie jechała, ale ona koniecznie chciała pojechać, no i pojechała. Trafiła akurat na taki czas, że gestapo likwidowało jej krewnych. Ponieważ ona miała ze sobą adres mieszkania w Jędrzejowie, więc przyjechali żandarmi, przeprowadzili rewizję w ich mieszkaniu, następnie wyprowadzili ich opiekunkę, a wraz z nią i gospodarza, u którego mieszkały[38], ale gospodarza jakoś nie zabili, chociaż był pewny, że i jego zabiją[39]. Szczęście, że nie powiedział, że z mojej protekcji ich przyjął. Nie udało mi się uratować ich życia. Jednak myślę, że Piotruś może ocalał. A gdyby gdzieś żył, jakże bym chciała go kiedy zobaczyć…”[40]

Ze względu na to, że jej mieszkanko znajdowało się w ruchliwym punkcie wsi u zbiegu dróg i przylegało do kapliczki, gdzie odbywały się nabożeństwa, siostra Makryna rzeczywiście nie miała warunków, żeby przechowywać kogoś przez dłuższy czas. Niemniej dbała o swoich podopiecznych, ulokowanych przez nią w rozmaitych miejscach, a jej mieszkanie spełniało rolę „skrzynki”. Podczas remontu kaplicy w roku 2007 okazało się, że pod ołtarzem jest spory schowek, w którym z powodzeniem zmieści się skulona dorosła osoba. Jest wysoce prawdopodobne, że stawał się on skrytką, kiedy siostra kogoś przechowywała, a w pobliżu pojawiały się osoby niepowołane.

Na strychu z kolei znaleziono kalendarzyk z roku 1942, z zapiskiem na ostatniej stronie: „*Umieszczenie Janka Himelsbach w domu wychowawczym lat 12 mogą dać*

---

[36] Duża część Żydów z Kałuszyna i okolic została rozstrzelana w samym Kałuszynie, inni zginęli podczas marszu z Kałuszyna do Mrozów, skąd wysyłani byli transportem do Treblinki.

[37] W rzeczywistości chodzi o Ludwika Landaua, jak sama siostra pisze w innych miejscach i co potwierdza oświadczenie Haliny Grobelnej. Dr Ludwik Landau, ekonomista i statystyk, autor wielu prac, przede wszystkim monumentalnej, trzytomowej *Kroniki lat wojny i okupacji*, Warszawa 1963, t. I–III.

[38] Marian Milewski

[39] Opiekunka dzieci została rozstrzelana na miejscu i pochowana za stodołą tego gospodarstwa. Prawdopodobnie nadal tam spoczywa.

[40] AŻIH, 301/6129.

100 zł. mies.”. Sądząc z miejsca, wieku chłopca i okoliczności, prawie na pewno chodzi o Jana Himilsbacha[41], a ta wiadomość stanowi przyczynek do wielu własnych życiorysów, które tworzył i puszczał w obieg z przewrotną satysfakcją, że nikt nigdy nie dojdzie całej prawdy o jego życiu. Autorem tego zapisku chyba nie była siostra, miała inny charakter pisma i miała też inny kalendarzyk z tegoż roku 1942. Niemniej to znalezisko wskazuje na jej związek z przechowywaniem Himilsbacha.

Wśród papierów i dokumentów pozostawionych przez siostrę zachowała się karteczka z wojennym numerem telefonicznym Ireny Sendlerowej, tym razem nie zaszyfrowana. I kiedy w sześćdziesiąt kilka lat później zadzwoniłam do pani Sendlerowej (choć numer zdążył się już zmienić), bez trudu przypomniała sobie siostrę Makrynę. Zetknęła się z nią kilkakrotnie właśnie w Cegłowie, u „Trojana” i zapamiętała jako osobę bardzo zaangażowaną, a przy tym nadzwyczaj skromną. Wspominając działalność siostry, powiedziała jeszcze o jej współpracy z partyzantami, którym nosiła paczki do lasu. Możliwe, że była to prasa podziemna. Wiadomo bowiem, że „p. Siuta była również kolporterką pism lewicowych «Wolność, Równość, Niepodległość», «Robotnik» – które przewoziła z Warszawy do Jędrzejowa, Mińska – i dalej Cegłowa, Siedlec. W pracy stykała się z p. Sendlerową «Jolanta», p. Badalską «Irka», p. dr Staweno […]”[42].

Siostra Makryna pisała swoją relację wiele lat po wojnie. Wziąwszy pod uwagę jej skromność i powściągliwość w ujawnianiu własnych zasług, dziwi fakt, że w ogóle się na to zdobyła. Najwyraźniej zmusiła ją do tego ostateczność, rozpaczliwa sytuacja starej kobiety, która całe życie poświęciła pracy dla swojego Kościoła i dla innych ludzi, a na koniec znalazła się w biedzie: „Utrzymywałam się zawsze z pracy rąk. Obecnie mam 70 lat i pracować już nie mogę. Żadnych środków utrzymania nie mam. Uprzejmie proszę o przyznanie mi miesięcznej zapomogi, abym miała z czego żyć”[43].

Tragicznym zbiegiem okoliczności nikt z jej podopiecznych nie przeżył. Nikt nie złożył świadectwa. Dlatego zmuszona była prosić. I nie wiadomo, czy pomoc, którą ostatecznie otrzymała za pośrednictwem Jewish Material Claims Against Germany, była właśnie odpowiedzią na jej podanie, czy może jednak pojawił się ktoś z ocalonych? Na ten temat krążą już tylko legendy. O żydowskim dziecku, które uratowała z obławy we wsi Rososz koło Cegłowa, ukrywając je pod habitem. I o jakiejś pani, która już po wojnie wyznaczyła siostrze spotkanie w Gdańsku, a miało się to wiązać z uratowaniem jej dziecka. Próby zbadania tych tropów na razie się nie powiodły.

Rzeczywistość natomiast była taka, że franciszkański duch ubóstwa towarzyszył siostrze do końca. Pewnie nie chciała rozstać się z Jędrzejowem, gdzie sąsiedzi byli dla niej jak rodzina i gdzie spędziła ponad pół wieku. Jej Kościół roztacza opie-

[41] Jan Himilsbach, pochodzący z Mińska Mazowieckiego późniejszy kamieniarz i pisarz, barwna postać świata artystycznego stolicy (1931–1988).

[42] Nazwisko nieczytelne. Dopisek do relacji siostry Makryny (AŻIH, 301/6129).

[43] AŻIH, 301/6129, podanie do Centralnej Żydowskiej Komisji Pomocy Społecznej.

kę nad swoją starszyzną i zapewne także siostra Makryna mogła mieć dożywotni wikt i dach nad głową przy Świątyni Miłosierdzia i Miłości w Płocku. Ona jednak była niezależna i trwała przy kapliczce, póki jej starczyło sił.

Biskup Wawrzyniec M. Franciszek Rostworowski

Motyw Wiśniewa pojawia się zawsze, kiedy wśród mariawitów wspomnieć o pomocy udzielanej Żydom. A Wiśniew – to biskup Rostworowski. Ksiądz Wawrzyniec hrabia Rostworowski herbu Nałęcz otrzymał święcenia jako ksiądz rzymskokatolicki i przez pewien czas był kapelanem arcybiskupa Popiela w Warszawie. Już w okresie powstawania mariawityzmu przystąpił do Zgromadzenia Kapłanów Mariawitów i w 1903 r. został przeniesiony do Wiśniewa, na swego rodzaju banicję[44]. Parafia ta, leżąca niedaleko Mińska Maz., była dla duszpasterza terenem niemal dziewiczym, zaniedbanym moralnie i religijnie.

Przenosząc ks. Rostworowskiego do Wiśniewa, nikt z ówczesnej hierarchii kościelnej nie przewidywał skutków tego posunięcia. A skutki nie dały na siebie długo czekać, bo nowy duszpasterz natychmiast podjął pracę u podstaw i wkrótce zaskarbił sobie sympatię i poparcie wiernych. Dzięki temu po rozłamie w 1906 r. znakomita większość wiśniewskich parafian opowiedziała się za mariawityzmem. Z parafii liczącej 3000 osób, przy Kościele rzymskokatolickim pozostało tylko 35 wiernych. Kapłan Rostworowski, który jako ksiądz mariawicki przybrał imiona Maria Franciszek, bardzo poważnie traktował ideał życia franciszkańskiego i konsekwentnie podążał śladem swojego patrona. Cały spadek rodzinny, w kwocie 50 000 rubli w złocie, przeznaczył na rzecz Kościoła mariawitów. Rozdawszy wszystko, co posiadał, żył w prostocie i ubóstwie, poświęcając się służbie dla innych, aż zyskał sobie miano „biedaczyny mariawickiego", na wzór św. Franciszka z Asyżu.

Pozostały trwałe ślady jego działalności: przede wszystkim murowany kościół w Wiśniewie, oddany do użytku w roku 1907, dom parafialny, który był ważnym ośrodkiem działalności społecznej, kulturalnej i charytatywnej, szkoła oraz szereg zabudowań gospodarczych, z których niestety nie wszystkie przetrwały do dziś. Warto dodać, że działalność kapłana, a później biskupa Rostworowskiego[45] rozwijała się w oparciu o pracę sióstr zakonnych, których w okresie poprzedzającym II wojnę światową było w Wiśniewie około 30. Dzięki połączonej aktywności kapłana, zakonnic i parafian, parafia mariawicka w Wiśniewie stała się prężnym i twórczym ośrodkiem. Działała tu ochronka, kuchnia dla ubogich, przytułek dla starców, szkoła, biblioteka, sklep, piekarnia, masarnia, warsztaty rzemieślnicze. Siostry spełniały też rolę pielęgniarek i felczerek, prowadziły apteczkę.

Żydów przed wojną w Wiśniewie prawie nie było. Mieszkańcy pamiętają tylko kilka osób. „Był tu taki Żydek, mieszkał. Miał taką schedkę malutką, obórkę na jedną krówkę i stodółeczkę na lechę (miara ziemi, dwa, trzy pokosy – góra). I on

[44] S. Gołębiowski , *Św. Maria Franciszka Feliksa Kozłowska 1862–1921*, wkładka, Płock, 2002.

[45] Konsekrowany na biskupa 4 X 1923 r. w Płocku.

tu mieszkał i tę ziemię sobie obrabiał. W tę obórkę to ludzie kamieniami rzucali; Żyd, to go poniewierali”[46]. „Byli krawce Żydzi, dobre krawce, cała rodzina. Chuna, Chuna się nazywał ojciec. Jeszcze Maryśce ubranie do ślubu szył!”[47]

W ochronce u sióstr wychowywało się kilkadziesięcioro dzieci, moi rozmówcy podawali różne liczby, od 20 do 60. Były to sieroty, podrzutki i dzieci z najbiedniejszych rodzin. Wśród nich także chłopiec żydowski G., urodzony ok. roku 1930, który dorastał pod opieką biskupa Rostworowskiego, a z biegiem lat stał się dla niego pomocą. „Biskup jeszcze mówił, że jak kto tylko przyjdzie i będzie prosił o jedzenie, to nie wolno odmówić. To Żydzi, jak się dowiedzieli, to szli, już pod wojnę było. Siostry gotowały i żywiły”[48]. Prawdopodobnie było to nie tylko „pod wojnę”, ale wręcz w pierwszych miesiącach wojny, bo jakkolwiek kampania wrześniowa nie spowodowała strat w parafii wiśniewskiej, to nie oszczędziła pobliskiego Kałuszyna. To miasteczko, leżące podobnie jak Jędrzejów przy głównej trasie z zachodu na wschód, było zamieszkane w trzech czwartych przez Żydów, a jego zabudowę w dużej części stanowiły biedne i bardzo biedne drewniane domy, szopy i obórki. Dlatego kiedy 11 września 1939 r. Niemcy zbombardowali Kałuszyn, to spłonął on i uległ zniszczeniu w 80 proc. Wtedy to Żydzi kałuszyńscy zaczęli szukać pomocy w okolicznych wioskach, a wiedzieli, że w Wiśniewie, oddalonym od Kałuszyna o 9 km, mogą liczyć na ciepły posiłek i kawałek chleba. Przychodzili więc, dopóki mogli, a także i później, ukradkiem, kiedy w Kałuszynie powstało getto.

Opowiada ks. M. Wawrzyniec Rostworowski, syn biskupa: „Jeśli idzie o mojego ojca i o dom klasztorny, to bardzo duża tam była pomoc dla Żydów. Wieczorami, po zmroku przychodzili po żywność. Nieraz widziałem tych, co wynosili z kuchni jedzenie Żydom. A oni przychodzili tak nieśmiało, delikatnie, ja im to pamiętam. Świetnie potrafili wyczuć, kiedy można było przyjść, kiedy jest bezpiecznie, też żeby nam nie zaszkodzić”[49]. To były cienie kryjące się w mroku, anonimowi Żydzi, których nazwisk nikt już nie pamięta. Prócz nich były jednak dwie osoby jak najbardziej konkretne: ów chłopiec z ochronki[50], który nawet bez szczególnej konspiracji przeżył w Wiśniewie wojnę, był zaprzyjaźniony z wieloma swoimi rówieśnikami, dobrze go tam pamiętają, niektórym z nich po wojnie pomógł. G. miał wygląd semicki, ale jak mówi ks. Wawrzyniec, „nikt się nim nie interesował. [...] Ojciec bardzo go lubił. G. woził go bryczką do parafii, jako furman, już w czasie wojny. Jeździli do Cegłowa, do Żarnówki. Tam nie było przepustek, można było jeździć”[51]. Kto inny z kolei pamięta, że: „...był od nas mądrzejszy, zawsze służył do

[46] Z wywiadu autorki z Janem Miszczakiem, Wiśniew, 29 I 2008.

[47] Z wywiadu autorki z Henrykiem Czyżewskim, jak wyżej.

[48] Z wywiadu autorki z Waldemarem Rekiem, jak wyżej.

[49] Z wywiadu z ks. M.W. Rostworowskim i biskupem M.L. Jabłońskim, przeprowadzonego przez autorkę w Płocku, 7 I 2008 r.

[50] Dla potrzeb tego artykułu nazywany G. Autorka nie została upoważniona do ujawnienia jego personaliów.

[51] Z wywiadu przeprowadzonego w Płocku, 7 I 2008 r.

mszy. Dobry chłopak, pomagał przy ołtarzu, jak było trzeba, to zadzwonił. Potem, po wojnie, pojechał o Warszawy. […]”[52].

I była pani Maria, Karolina Mantlowa, która „uratowała się dzięki pomocy mariawitów”[53]. Z relacji F. J. Pilcha: „Znajoma moja sprzed wojny, p. dr Maria Mantlowa zwróciła się do mnie w marcu 1943 r. o pomoc. Matka jej męża, staruszka 70-letnia, Żydówka, mieszka u niej i ona jest teraz szantażowana przez bandę opryszków żądających okupu. Kilka zasadzek nie dało wyniku. Zdając sobie sprawę, że może być wsypa, zabrałem tę staruszkę do swego mieszkania przy ul. Hipotecznej 5. […] poczyniłem starania, by dla staruszki znaleźć schronienie. Za pośrednictwem wielce uczynnego człowieka, księdza Kościoła Mariawickiego, Szczepana Zasadzińskiego, proboszcza parafii w Żeliszewie, staruszka ta znalazła schronienie w Wiśniewie, pow. Mińsk Mazowiecki, w domu parafialnym Kościoła Mariawickiego i tam przebywała do wiosny 1946 r.”[54]. Ponieważ dom parafialny w Wiśniewie był miejscem, gdzie przewijało się wiele osób, pojawienie się kogoś nowego nikogo nie dziwiło. Karolina Mantlowa, występująca tu jako pani Maria, nie zwracała na siebie uwagi. Dotrzymywała towarzystwa innej starszej pani, kuzynce biskupa. Regularnie chodziła do kościoła, nie wzbudzając niczyich podejrzeń[55]. Karolina Mantlowa zmarła potem w Londynie[56].

Jak widać, w wiśniewskim domu parafialnym panowała atmosfera względnego bezpieczeństwa i obie ukrywające się tam osoby żydowskiego pochodzenia żyły w zasadzie normalnie, posługując się jedynie fałszywymi papierami. Była jednak podstawowa różnica między sytuacją G., a pani Marii. O ile ona przyjęła dość gładko fałszywą tożsamość i nikt jej tu nie znał, a więc mogła czuć się w miarę bezpiecznie, o tyle życie i bezpieczeństwo G., którego wszyscy znali, zależało od solidarnej lojalności całej wsi. I tu niewątpliwie decydującą rolę odegrał osobisty autorytet biskupa Rostworowskiego. Zgodnie z opinią jego syna, miał on na wszystkich wielki wpływ, a w okolicach Wiśniewa wpływ ten obejmował nawet rzymskich katolików, którzy dostrzegali w nim człowieka wielkiej klasy. Uczył, że pochodzenie jest nieważne, liczy się miłosierdzie i miłość. I że Żyd jest takim samym bliźnim jak katolik i należy mu się pomoc.

Biskup Rostworowski był bez wątpienia człowiekiem czynu i wielkiej odwagi. Zaprzysiężony przez AK, udzielał czynnej pomocy partyzantom. W podziemiach kościoła funkcjonował tajny szpital. Jego wyposażenie było ukryte w schowku pod ołtarzem i w razie konieczności szpital był natychmiast uruchamiany. O współpracy biskupa z podziemiem dodatkowo świadczy fakt, że często bywał w Wiśniewie Julian Grobelny, jednak charakteru tych spotkań można się tylko domyślać. Najprawdopodobniej miały one związek z opieką nad ukrywającymi się Żydami.

---

[52] Z wywiadu w Wiśniewie, 29 I 2008 r., rozmowa z Waldemarem Rekiem.

[53] W. Bartoszewski i Z. Lewinówna, *Ten jest z ojczyzny mojej*, Kraków 1966, s. 271, relacja Feliksa Mantla.

[54] *Ibidem*, s. 271–272, relacja F. J. Pilcha.

[55] Z wywiadu autorki z o. M. Wawrzyńcem Rostworowskim, Płock, 7 I 2008 r.

[56] W. Bartoszewski i Z. Lewinówna, *op. cit.*, s. 271.

Możliwe też, że zaangażowanie biskupa Rostworowskiego znacznie przekraczało to, o czym wiedzieli domownicy.

Z wywiadu przeprowadzonego w Wiśniewie wynika, że w okolicach wsi[57] ukrywał się jeszcze jeden chłopiec żydowski, Icek, syn wspomnianego już krawca Chuny. Udało mu się uciec z miejsca egzekucji Żydów na kirkucie w Kałuszynie i wrócił do Wiśniewa. Dotrwał do końca wojny mieszkając w ziemiance, dokarmiany przez okolicznych ludzi, zarówno mariawitów, jak rzymskich katolików. „Ja jego pamiętam, Icka. Ziemniaki sobie razem piekliśmy w ziemiance. On przy nas najwięcej był, jeść mu dawaliśmy, krowy u nas pasł. Potem słyszałem, że poszedł do wojska, w Poznaniu był majorem. Ale już tu nie przyjeżdżał"[58]. Biskup Rostworowski musiał chyba wiedzieć o pomocy, której udzielali jego parafianie. Wiadomo także skądinąd, że i z klasztoru przywożono żywność na Kopczankę, bo tam i w sąsiednich wioskach mariawickich (Wólka Kałuska, Żebrówka) szukali ratunku niektórzy pozostali przy życiu kałuszyńscy Żydzi[59].

Biskup M. Franciszek Rostworowski zmarł w 1956 r., a w pamięci parafian przetrwał jako człowiek, który „chronił i szanował wszystkich". Po analizie wzmiankowanych tu relacji pisanych i ustnych wydaje się, że w pełni zasłużył na tytuł Sprawiedliwego. Niestety do wszczęcia starań o przyznanie mu tego odznaczenia brakuje bezpośredniego świadectwa osoby uratowanej.

Ksiądz M. Szczepan Zasadziński, proboszcz z Żeliszewa

Żeliszew Duży leży kilka kilometrów w bok od linii kolejowej Warszawa –Terespol. Parafia mariawicka powstała tu jako piąta na Podlasiu, a pierwotny kościół drewniany pobudowany został przez trzy miesiące 1907 r. W tymże roku było tu ok. 2400 mariawitów, teraz – razem z gminą Kotuń i Skórzec oraz z mariawitami z Siedlec – jest 800. Niemniej nadal jest to silna wspólnota mariawicka, której przewodzi ks. M. Krzysztof Czyżewski. Kościół, po kapitalnym remoncie, wzbudza podziw, bo zachowano charakter i ducha tego miejsca. Trafiłam tu tropem informacji, że podczas remontu kościoła w Żeliszewie znaleziono za ołtarzem właz do kryjówki. Fakt istnienia skrytki pod ołtarzem, mogącej pomieścić trzy osoby, przenosi nas od razu w czasy okupacji, kiedy gospodarzem parafii mariawickiej w Żeliszewie był kapłan M. Szczepan Zasadziński.

Urodzony warszawiak, początkowo związany z kościołem w Warszawie przy ul. Szarej, w roku 1934 objął parafię w Żeliszewie i spędził tu dwadzieścia lat, aż do śmierci. O pokolenie młodszy od biskupa Rostworowskiego, miał też inną od niego formację duchową. Pochodził z rodziny mariawickiej, lecz do seminarium wstąpił dopiero po świeckiej maturze i można powiedzieć, że myślał po świecku. Był to człowiek o szerokich horyzontach, człowiek czynu, który nie

[57] Prawdopodobnie było to w okolicy zwanej Kopczanką.

[58] Z wywiadu przeprowadzonego przez autorkę w Wiśniewie, 29 I 2008 r. Rozmowa z Henrykiem Czyżewskim.

[59] Informacja dr. Sławomira Gołębiowskiego.

zdawał się wyłącznie na wolę bożą, lecz starał się jej pomagać. Mistyk, lecz jednocześnie pragmatyk, mocno stąpający po ziemi[60]. W przededniu wojny przy kościele mieszkało ok. 10 sióstr zakonnych. Stała drewniana plebania, duży drewniany dom parafialny i inne zabudowania należące do parafii. Działała ochronka, czynne były: szwalnia, pracownia dziewiarska, pończoszarnia i piekarnia, w których przed wojną pracowało około 30 osób. Jesienią 1939 r., kiedy ludzie masowo uciekali przed Niemcami, każdy potrzebujący choćby przejściowo otrzymywał tutaj schronienie. Także i później, podczas wojny, ciągle ktoś się tu pojawiał i znikał, a w pracowni krawieckiej i w pończoszarni zawsze można było stworzyć alibi pracy. Mówiło się, że to ktoś z rodziny tej czy tamtej siostry. Nowi przybysze nawijali wełnę do robienia swetrów, w szwalni także powierzano im różne prace pomocnicze[61].

Tu początkowo znalazła schronienie, wspomniana już wyżej, Karolina Mantlowa. W Żeliszewie przechowywanie Żydów było szczególnie niebezpieczne, ponieważ w tej samej miejscowości, w dawnym pałacu, mieścił się posterunek żandarmerii. Dlatego ks. Zasadziński, w porozumieniu z Ferdynandem Pilchem, który akcję ukrywania Mantlowej zainicjował, postanowił na stałe umieścić ją w parafii mariawickiej w Wiśniewie, oddalonym od najbliższego niemieckiego posterunku o 5 km[62]. We wsi Łączka, w pobliżu Żeliszewa, Niemcy utworzyli przejściowy obóz pracy dla Żydów, gdzie byli zatrudnieni przy regulacji rzeki Kostrzyń. Był to wydzielony kawałek pola, na którym postawiono baraki, otoczony drutem kolczastym i rowem. Obozu pilnowało tylko czterech Niemców, poza tym strażnicy volksdeutche, zwani przez tutejszą ludność „stojakami". Obóz w Łączce działał ponad rok, prawdopodobnie w latach 1940/1941. Byli tam mężczyźni, kobiety i dzieci.

Piekarnia przy parafii pracowała w czasie wojny pełną parą, a rola, jaką wówczas odgrywała, znacznie przekraczała sam wypiek chleba. Ponieważ zaopatrywała ona także stacjonujących w pobliskim pałacu Niemców, ks. Zasadziński miał pretekst, aby zgłaszać zapotrzebowanie na pracowników do pomocy w piekarni. Pomocnicy Żydzi, pochodzący z obozu w Łączce, unikali w ten sposób katorżniczej pracy obozowej, otrzymywali jedzenie, lecz co najważniejsze, dla wielu z nich piekarnia mariawicka w Żeliszewie stanowiła pierwszy etap ucieczki[63]. Kryjówka pod kościołem używana była wielokrotnie, prawdopodobnie do przechowywania Żydów, lecz także partyzantów AK. Ks. Zasadziński był bowiem zaprzysiężony w AK i aktywnie współpracował z partyzantami, wielu ludziom uratował życie[64].

---

[60] Z relacji dr. Sławomira Gołębiowskiego.

[61] Z wywiadu przeprowadzonego przez autorkę w Żeliszewie, 28 IX 2007 r. Relacja Zenobii Magdziakowej, córki „pierwszego mariawity" w Żeliszewie, organisty Cisa.

[62] W Jakubowie.

[63] Z wywiadu przeprowadzonego w Żeliszewie (jak wyżej).

[64] Z rozmowy z dr. Sławomirem Gołębiowskim (31 III 2008 r.).

Pomoc ze strony klasztorów

Chociaż stosunkowo mało jest relacji pisanych, dokumentujących pomoc konkretnych mariawitów dla Żydów i często trzeba opierać się na przekazach ustnych, to jednak w świadectwach ocalonych Żydów napotkać można wzmianki wskazujące na to, że klasztory mariawickie czy wspólnoty sióstr przy parafiach uważali oni za miejsca, gdzie mogą liczyć na pomoc.

Pamiętać przy tym należy, że jakkolwiek parafie mariawickie starały się w miarę możności kontynuować dotychczasową działalność społeczną, oświatową i usługową, (oprócz, oczywiście, aktywności stricte religijnej), to jednak i w stosunku do nich Niemcy podjęli działania represyjne, mające na celu likwidację Kościoła. Poprzedziły to przykre i mało chwalebne zajścia pomiędzy obu odłamami, które stanowią dysonans wobec późniejszej działalności mariawitów, a jednak gwoli prawdy historycznej należy je odnotować. Już na jesieni 1939 r. zaczęły napływać do landrata płockiego i do gestapo donosy na biskupa Feldmana, ówczesnej głowy Kościoła Starokatolickiego Mariawitów, jakoby był Żydem i masonem[65]. Był to wielokrotnie ponawiany atak ze strony odłamu felicjanowskiego, mający na celu odzyskanie świątyni płockiej, oraz przywrócenie arcybiskupowi Kowalskiemu utraconej pozycji w Kościele mariawitów[66]. Pisma podpisane przez samego Kowalskiego oraz siostry zakonne nie odniosły oczekiwanego skutku, natomiast zmusiły biskupa Feldmana do udowodnienia swej „niewinności" i aryjskiego pochodzenia[67]. Ponieważ były to pierwsze miesiące okupacji, autorzy tych donosów nie zdawali sobie sprawy, że oskarżenie kogoś o żydostwo jest równoznaczne z wyrokiem śmierci[68]. Biskup Feldman zdołał wybronić się od zarzutów, a nawet wykazał swe pochodzenie niemieckie i kiedy polecono mu, by formalnie zadeklarował się jako Niemiec – został tzw. reichsdeutchem[69]. To przedłużyło prawdopodobnie funkcjonowanie Starokatolickiego Kościoła Mariawitów w Płocku, lecz bez głębszej znajomości faktów trudno tę decyzję oceniać. Arcybiskup Kowalski 25 stycznia 1940 r. został aresztowany przez gestapo i wywieziony do Dachau, gdzie zginął w roku 1942, a wspólnota mariawicka w Felicjanowie koło Płocka w marcu 1941 r. praktycznie w całości wywieziona została najpierw do obozu w Działdowie, następnie zaś do Pomiechówka.

Klasztor w Płocku został zajęty przez Niemców w roku 1941, a większość jego mieszkańców wysiedlona do miasta bądź wywieziona do obozów. W sierpniu 1942 r. biskup M. Filip Feldman zmuszony został do wyjazdu do Niemiec. Niemniej w okresie poprzedzającym te wydarzenia klasztor rozwinął bardzo szeroką dzia-

---

[65] K. Mazur, *Mariawityzm w Polsce*, Kraków 1991, s. 112.

[66] Arcybiskup Kowalski, odsunięty od władzy po rozłamie. Patrz przyp. 15.

[67] *Historia Marjawityzmu, Druga Wojna Światowa* – maszynopis autorstwa bpa M. Filipa Feldmana.

[68] Korespondencja dr. K. Mazura z arcybiskupem M. Rafaelem Wojciechowskim z Felicjanowa.

[69] List ks. prof. Konrada M. Pawła Rudnickiego do autorki.

łalność w dziedzinie niesienia pomocy potrzebującym. Zorganizowano specjalnie warsztat stolarski, aby stworzyć miejsce pracy dla pracowników umysłowych wyznania rzymskokatolickiego zagrożonych wywózką do Niemiec. Zatrudnionych zostało 60 osób, a ich lista zatwierdzona w Arbeitsamcie. Komitet polskich pań wystąpił także z prośbą o zatrudnianie przez siostry młodych panien, aby uchronić je przed wysyłką. „Do każdej pracowni sióstr zostało przyjętych kilka lub kilkanaście panien jako pracownic i praktykantek. Pracowały one w hafciarni, bieliźniarni, pończoszarni, w piekarni, cukierni, ogrodzie i w fabryce wód gazowych, a także w nowo założonej pracowni sukien”[70].

Ze zrozumiałych względów autor nie wspomina w swych zapiskach ani razu o pomocy udzielanej Żydom. Można się tylko domyślać, że wśród dziesiątek osób, które klasztor w Płocku ratował bądź wspomagał w taki czy inny sposób, byli także ukrywający się Żydzi. Pewne światło rzuca na to relacja Toli Puterman, przebywającej z rodziną najpierw w getcie kutnowskim, następnie gąbińskim. Tam jej matce udało się zdobyć aryjskie dokumenty dla siebie i dwóch starszych córek. Podając się za Polki musiały jednak opuścić getto i pozostawić tam resztę rodziny, otrzymały bowiem nakaz natychmiastowego przesiedlenia się do Płocka. „... jak tylko przyjechałyśmy do Płocka – poszłyśmy do klasztoru Marjawitów. Matka znała biskupa. Przechowywał on rzeczy naszej sąsiadki z getta gąbińskiego – i na jej prośbę na krótko przed tym pojechała do biskupa i odebrała te rzeczy. Sąsiadka nie miała z czego żyć... Mieszkałyśmy w klasztorze 4 dni. Zakonnice przynosiły nam jedzenie – jedna wiedziała nawet, że jesteśmy Żydówkami. Po czterech dniach musiałyśmy się wyprowadzić, bo klasztor przeszedł pod zarząd Niemców i biskup bał się trzymać nas dłużej u siebie”[71].

Z relacji wynika, że pobyt Toli z matką i siostrą w klasztorze mariawickim przypadł na rok 1941, tuż przed zajęciem klasztoru przez Niemców i wysiedleniem większości duchowieństwa oraz pozostałych mieszkańców, czyli na moment dla tego miejsca przełomowy. A jednak przejściowe schronienie i to, że miały gdzie pójść po przybyciu do miasta, miało dla nich wielką wagę. Potem już dały sobie radę i choć ich dalsze losy toczyły się wciąż na krawędzi śmiertelnego zagrożenia, to jednak rodzina Putermanów w całości przeżyła wojnę.

Rodzina Gutermanów z Płocka, wspomniana na początku artykułu, pozostawała w przyjaznych kontaktach z klasztorem mariawickim już w okresie przedwojennym. Ta znajomość okazała się ich ratunkiem podczas okupacyjnej gehenny. Symcha Guterman z żoną Ewą i kilkuletnim synkiem Jakubem, dość krótko przebywali w płockim getcie, likwidowanym w ramach akcji „oczyszczania miasta z Żydów”. Już na początku marca 1941 r., wywieziono ich do obozu w Działdowie (Soldau), skąd po kilku dniach przetransportowani zostali do Generalnego Gubernatorstwa i wraz z tysiącem podobnych im wygnańców zesłani do małych miasteczek w okolicach Kielc, gdzie już i tak wspólnoty żydowskie cierpiały dojmującą biedę

[70] *Historia Marjawityzmu...* – bp M. F. Feldman, maszynopis.
[71] AYV, 03/672, Relacja Toli Puterman.

i wszędzie panowała ciasnota, głód i choroby. Gutermanowie wkrótce przenieśli się do Ostrowca, gdzie dzięki pomocy tamtejszego Polaka, Stanisława Szcześniaka, udało im się wyrobić fałszywe dokumenty; dla Ewy i jej syna Jakuba na nazwiska Władysławy i Stanisława Dudów, dla Symchy Gutermana na nazwisko Jakuba Pawłowskiego[72]. Mimo posiadania aryjskich dokumentów, ich dalsze okupacyjne życie znaczyły ciągłe przeprowadzki, wielokrotne spotkania ze szmalcownikami i nieustanne poczucie zagrożenia.

Rozpaczliwie szukając ratunku przede wszystkim dla dziecka, zdołali je umieścić „w wiejskim klasztorze u sióstr mariawitek"[73]. Było to przy parafii mariawickiej w Pogorzeli, gm. Osieck, pow. Garwolin, gdzie zamieszkiwała jedna lub dwie siostry mariawitki i gdzie od czasu do czasu dojeżdżały kapłanki mariawickie z Warszawy, z ul. Okopowej 29[74]. Należy odnotować, że były to siostry z odłamu tzw. felicjanowskiego, który podczas rozłamu opowiedział się za abpem Kowalskim. Na początku roku 1943 Symcha Guterman – wówczas Jakub Pawłowski – zgłosił się do sióstr: M. Dilekty Rasztawickiej i M. Leonii Wiśniewskiej, pełniących również obowiązki kapłańskie w parafii przy Okopowej 29 w Warszawie. Prosił je o schronienie i ratunek, powołując się przy tym na przedwojenną znajomość (być może wywodzącą się jeszcze z czasów przed rozłamem) z siostrami mariawickimi z Płocka.

Ówczesne warunki lokalowe sióstr nie były łatwe. Mieszkanie przy Okopowej 29 składało się z dwóch pokoi z kuchnią, gdzie zamieszkiwało siedem zakonnic, przy czym jeden pokój spełniał funkcję kaplicy. Niemniej zaoferowano „p. J. Pawłowskiemu opiekę i pobyt w ciągu dnia, od wczesnych godzin rannych do wieczora, w mieszkaniu Sióstr, noclegi zaś u zamieszkałej w pobliżu, zaprzyjaźnionej z Siostrami wyznawczyni, staruszki nazwiskiem Wiktorkowa"[75]. Siostry mariawickie z Okopowej otoczyły opieką całą trzyosobową rodzinę Gutermanów, zapewniając im także środki utrzymania. Ojciec rodziny, z zawodu dziewiarz, w ciągu dnia robił swetry na maszynach sióstr w ich mieszkaniu w Warszawie. Swetry te jego żona (osoba o tzw. dobrym wyglądzie i dobrze mówiąca po polsku) sprzedawała następnie na wsi, gdzie mieszkała – w pobliżu syna, w Pogorzeli. Symcha Guterman pomagał także siostrom w ich pracy, a w wolnych chwilach lub wieczorami robił systematyczne zapiski, rodzaj dziennika, który następnie za zgodą siostry starszej, Dilekty Rasztawickiej, ukrywał pod parapetem okiennym, od strony dworu. Ponieważ dom przy Okopowej 29 został spalony, ta część zapisków najprawdopodobniej podzieliła jego los[76]. Przez pewien czas cała rodzina przebywała w Warszawie – oj-

[72] S. Guterman, *op. cit.*, s. 20–22.

[73] *Ibidem*, s. 23.

[74] Świadectwo dotyczące przechowywania podczas okupacji niemieckiej przez siostry zakonne z parafii mariawickiej przy ul. Okopowej 29 w Warszawie żydowskiej rodziny Gutermanów pochodzącej z Płocka, maszynopis, Warszawa, 18 IV 1983 r.

[75] *Ibidem*.

[76] Symcha Guterman ukrywał swoje zapiski zamkniętych słoikach czy butelkach, w różnych miejscach. Duża część tych zapisków została odnaleziona dopiero w roku 1978 r. i stała się podstawą cytowanej już wyżej książki – *Kartki z pożogi*.

ciec u sióstr, a matka z dziewięcioletnim wówczas synkiem w wynajętym pokoju na ul. Żelaznej. Ze względu na jego bezpieczeństwo, a także aby zapewnić mu zdrowsze warunki życia, ojciec uprosił jedną z zakonnic, która wybierała się do swojej rodziny na wieś, aby zabrała ze sobą jego syna[77].

Zgodnie ze świadectwem mariawickim była to siostra Anna Jarosława Kołudzka, która przewiozła chłopca do swojej rodziny zamieszkałej we wsi Urbańszczyzna k. Łowicza. Na wsi szczęśliwie doczekał końca okupacji[78]. Pasł krowy i wiódł życie pobożnego (!) wiejskiego parobka, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Przez gospodarzy traktowany był dobrze, tak samo jak ich rodzony syn. Po upadku powstania warszawskiego odnalazła go matka, którą gospodarze także zdecydowali się przyjąć i do wyzwolenia dzieliła z nimi codzienne obowiązki. Symcha Guterman poszedł do powstania, przyłączył się do oddziału i zginął już podczas pierwszych walk.

Klasztor mariawicki w Cegłowie podczas wojny starał się kontynuować działalność, mimo okupacyjnych ograniczeń i utrudnień ze strony Niemców. I tak np. chociaż parter budynku parafialnego zajęty został na potrzeby niemieckiego wojska, na piętrze prowadzono tajne nauczanie. Od roku 1944 do końca wojny w podziemiach kościoła, a potem w domu parafialnym działał szpital dla żołnierzy AK i armii radzieckiej[79]. Wzmianki o klasztorze cegłowskim znajdujemy w relacji Adama Kamiennego, młodego Żyda z Kałuszyna, który tuż przed likwidacją tamtejszego getta trafił do obozu pracy przymusowej w Jeziorku koło Kuflewa[80]. Po pewnym czasie, po niefortunnej próbie ukrywania się w Warszawie, dotarła tam również jego bratowa z malutkim dzieckiem. Obóz ten, choć był miejscem ciężkiej pracy przy kopaniu i pogłębianiu rowów melioracyjnych, wydawał się jednak względnie bezpieczny w stosunku do tego, co działo się w tym samym czasie (sierpień/wrzesień 1942 r.) w Mrozach i Kałuszynie. Młoda kobieta obarczona niemowlęciem nie mogła pracować, nie miała więc prawa przebywać w obozie i skazana była na koczowanie na jego obrzeżach. Zimno, brak mleka i ciepłego jedzenia praktycznie nie dawały szans na przetrwanie, a dziecko, które jeszcze niedawno było dla niej błogosławieństwem, teraz stało się przekleństwem. I wtedy, pisze jej szwagier, Adam Kamienny: „Ja z ojcem, zupełnie na serio zaczęliśmy jej doradzać, żeby zaniosła dziecko do klasztoru marjawitek i tam je podrzuciła”[81].

Mania Ajbeszyc, o której mowa, póki tylko mogła zwlekała z decyzją. Dopiero po bezpośrednim spotkaniu z Niemcami, kiedy cudem uniknęła rozstrzelania i nakazano jej natychmiast opuścić okolice obozu, zdecydowała się na podrzucenie dziecka. Chodziło o klasztor mariawicki w Cegłowie oddalony o około 10 km od obozu w Jeziorku. Ostatecznie losy młodej matki i dziecka potoczyły się inaczej:

---

[77] S. Guterman *op. cit.*, s. 28.

[78] *Świadectwo…* Wieś, o której mowa to Urbańszczyzna, którą Jakub Guterman nazywa Wygodą. Obie relacje dotyczą tego samego miejsca.

[79] Z. T. Gajowniczek, *Na tropach tajemnic historii Cegłowa i okolic*, Cegłów 1999, s. 52.

[80] AYV, 03/842, Relacja Adama Kamiennego.

[81] *Ibidem*, s. 25.

„Doszła do klasztoru, weszła do środka, gdzie nikogo nie było i tam położyła dziecko w kącie. Ale gdy już odeszła z powrotem parę kroków [...] nagle coś się w niej załamało. Pobiegła z powrotem, złapała dziecko na ręce i uciekła z nim prędko, jakby ją kto gonił. Powiedziała sobie, że woli raczej zginąć razem, niżby miała sama go porzucić". Z trudem zdołała dotrzeć do obozu w Mieni, gdzie kierownik, Polak, zlitował się nad nią i zgodził się przyjąć ją wraz z dzieckiem, co choć na pewien czas oddaliło od obojga widmo śmierci.

Abstrahując od dalszych losów Mani Ajbeszyc i jej synka, widzimy, że w powszechnym przekonaniu, także Żydów, klasztor mariawicki był miejscem, gdzie z dużą dozą prawdopodobieństwa można było liczyć na pomoc i opiekę. A jak wiadomo, praktyka podrzucania tam niechcianych dzieci częsta była już w okresie przedwojennym.

Egzekucja w Cegłowie

Z Cegłowem, choć już nie z klasztorem, związana jest także tragiczna historia trojga młodych Goldsteinów oraz przechowującej ich mariawickiej rodziny: Aleksandry i Jana Wąsowskich oraz dwudziestu kilku innych osób. Goldsteinowie mieszkali w Mieni na tzw. pokomornem i byli jedynymi Żydami w tej wsi. Przyjazne stosunki z rodziną Wąsowskich z Cisia (obecnie część Cegłowa) utrzymywali już przed wojną. Wynajmowali jedną izbę w ich domu i przechowywali tam jabłka na handel. Estera Goldsteinówna wymieniała się z Wąsowską wzorami do haftów, jako że obie lubiły haftować. Stary Goldstein, szklarz, zginął już wcześniej, o jego żonie nic nie wiadomo. W domu w Mieni pozostało troje dorosłych dzieci: Estera, Mendel i Jojna. Przechowywali się tam jeszcze wtedy, kiedy Żydów w Cegłowie i okolicy praktycznie już nie było, do momentu gdy właściciel bał się ich dłużej trzymać i wymówił mieszkanie. Od tej pory ukrywali się u dawnych znajomych, Aleksandry i Jana Wąsowskich w Cisiu. Estera mieszkała w domu, jej bracia w stodole. Opowiada o tym córka gospodarzy, wówczas 14-letnia dziewczynka, która pamięta, jak rano 28 czerwca 1943 r. do mieszkania przyszła ich służąca i powiedziała matce, że są otoczeni. I rzeczywiście, wieś została otoczona przez oddział własowców, wszędzie stały karabiny maszynowe. Mieszkańców domu wyprowadzono. W stodole, gdzie przebywali Mendel i Jojna Goldsteinowie oraz Moszek z Cegłowa[82] wywiązała się strzelanina, bo młodzi Żydzi mieli broń. Zanim zginęli, zabili jednego z oprawców. Estera uciekała w pole, ale zastrzelili ją zanim zdołała się ukryć.

Podczas obławy zginął też gospodarz, Jan Wąsowski, kolejarz. Resztę rodziny razem ze służącą odprowadzono do Cegłowa, gdzie zgromadzono już ponad dwadzieścia osób, w tym przybyłych na odpust mieszkańców innych wsi. Wydaje się, że obława na Żydów ukrywających się u Wąsowskich była tylko częścią szerszej, zorganizowanej akcji, ponieważ tego dnia w egzekucji przy torach kolejowych

[82] Nazwisko nieznane.

w Cegłowie rozstrzelano 26 osób, w tym dwoje dzieci[83]. Akcja dokonana przez żandarmerię niemiecką, SS i gestapo była odwetem za ukrywanie Żydów i związki z podziemiem. Wśród zamordowanych byli głównie kolejarze, ale także osoby, które dostały się w obławę przypadkowo[84]. Pisze o tym Ludwik Landau: „Owe trupy koło kolei w okolicy Mińska Mazowieckiego były, jak się okazuje, śladem działalności ekspedycji karnej, która w dniu odpustu otoczyła wieś Cegłów, spaliła szereg domów, nie pozwalając na ratowanie czegokolwiek, 30 osób zamordowała na widoku publicznym na rynku, a potem kontynuowała swoje dzieło po domach"[85]. Z czteroosobowej mariawickiej rodziny Wąsowskich przeżyła tylko córka, Hanna, która prócz rodziców straciła tego dnia także 17-letniego brata, Mieczysława[86].

Podsumowanie

Szukając przykładów pomocy mariawitów dla Żydów w czasie okupacji, pamiętać trzeba, jak niewielka była to wspólnota. Trudno o dokładne dane, lecz według szacunków w przededniu wojny liczba mariawitów nie przekraczała 50 tys.[87] Wojna także dokonała w ich szeregach znaczących spustoszeń. Dlatego każdy przyczynek do mariawickiego dzieła pomocy Żydom wydaje się cenny. Wkład i zaangażowanie księży mariawickich i zakonnic nie ulega tu wątpliwości, o zaangażowaniu mariawitów świeckich wiadomo znacznie mniej. Można się tylko domyślać, że to ich lojalność i poparcie pozwalały na skuteczną działalność duchowieństwa (Wiśniew, Żeliszew, Cegłów, Dobra), nawet jeśli pozostają anonimowi.

Godzi się odnotować imiona zakonne sióstr Kingi i Marianny, przypomniane ostatnio przez Irenę Sendlerową jako osób, które w czasie wojny same się do niej zgłosiły, prosząc o umożliwienie im udzielenia pomocy w ratowaniu żydowskich dzieci. Do współpracy z siostrami mariawickimi skierowała Sendlerowa jedną ze swoich najlepszych łączniczek, Janinę Grabowską[88]. Ksiądz M. Serafin Bołłoczko, proboszcz w Dobrej koło Łodzi, wychowywał chłopca żydowskiego i opiekował się nim przez cały okres okupacji. Chłopiec ten przeżył wojnę w Dobrej, potem mieszkał w Łodzi i na pogrzebie ks. Bołłoczki w 1968 r., przemawiając nad grobem, przekazał zebranym swoje świadectwo[89]. Ks. M. Kazimierz Kaczyński, proboszcz w Lip-

[83] W sumie tego dnia w Cegłowie zginęło 36 osób, 26 w egzekucji przy torach. Z. T. Gajowniczek, *op. cit*., s. 134, 148.

[84] Szymon Datner, *Wspólna walka*, „Tygodnik Demokratyczny", nr 17 (777).

[85] L. Landau, *op. cit.*, t. III, str. 5. Liczba ofiar podana przez autora jest niedokładna. Sama egzekucja odbyła się nie na rynku, lecz przy torach kolejowych, niedaleko stamtąd.

[86] Relacja Hanny Kaczorek, z d. Wąsowskiej, Cegłów, 15 I 2008 r.

[87] Informacja dr. Krzysztofa Mazura.

[88] Z niepublikowanej rozmowy Ireny Sendlerowej z Michałem Głowińskim, Warszawa, 18 III 2008 r.

[89] Z rozmowy z ks. Tadeuszem M. Fidelisem Kaczmarskim, proboszczem parafii mariawickiej w Wierzbicy koło Radomia, obecnym na tym pogrzebie. Nie zapamiętał niestety nazwiska uratowanego.

ce koło Łodzi, wraz ze swą żoną s. Magdaleną, zaadoptował żydowskiego chłopca, prawdopodobnie podrzutka. Dał mu na imię Feliks i swoje nazwisko: Kaczyński. Chłopiec ten także przeżył wojnę. S. Eliza Patora, prowadząca ochronkę mariawicką w Sobótce Nowej k. Łęczycy, ukrywała tam dziewczynkę żydowską, mającą wówczas 8–9 lat. Dziewczynka ta, uznana przez Niemców za przedstawicielkę rasy nordyckiej, wywieziona i wychowana na Niemkę, po wojnie trafiła jednak do Sobótki, poszukując swych dawnych opiekunów i biologicznych rodziców[90].

Mariawici dumni są z faktu, że mają w swym gronie Sprawiedliwego wśród Narodów Świata – kapłana prof. Konrada M. Pawła Rudnickiego. Syn pisarza Lucjana Rudnickiego i Marii z Szukiewiczów, podczas wojny mieszkał z matką w Sulejowie i jako kilkunastoletni chłopak wraz z nią pomagał zaprzyjaźnionym rodzinom żydowskim Rosenthalów i Weintraubów. Szczególnie ważnym aspektem tej pomocy było zaopatrzenie poszczególnych członków obu rodzin w metryki siostry i brata Konrada Rudnickiego – Elżbiety i Kazimierza, zmarłych przed wojną. Ponieważ metryki wydawane były w trzech egzemplarzach, dawały szansę ratunku sześciu osobom. Ponadto, w okresie od 14 października 1942[91] do 22 grudnia tegoż roku, Maria Rudnicka wraz synem przechowywali starszą panią, Wierę Rosenthal, którą zaopatrzyli w metrykę swej krewnej, Joanny Szukiewicz. Niestety, prawie wszyscy z Rosenthalów i Weintraubów zginęli podczas wpadki kolejnych kryjówek: w Końskich i Skórnicach w okolicy Łodzi.

Spośród osób, które starali się ratować Rudniccy, przeżyła tylko kuzynka Rosenthalów, Elżbieta Taksin. Przetrwała wojnę jako Elżbieta Rudnicka i pozostała już przy swoim okupacyjnym nazwisku, stając się niejako przybraną siostrą Konrada. Do końca życia pozostała w serdecznych stosunkach z rodziną Rudnickich[92]. To dzięki jej świadectwu Maria i Konrad Rudniccy w 1995 r. odznaczeni zostali medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Gwoli ścisłości dodać należy, że podczas opisywanych wydarzeń Konrad Rudnicki nie był jeszcze mariawitą. On sam jednak widzi związek między swymi doświadczeniami okupacyjnymi, a dojściem do mariawityzmu w latach pięćdziesiątych. Tak dla niego, jak dla jego matki ważne było, że trzeba pomóc komuś, kto tej pomocy bardzo potrzebuje, bez rozróżniania, Żyd to, czy nie Żyd. Ważny był człowiek. Rzec można, realizowali ideały chrześcijańskie w ich czystej formie, choć Rudnicki był jeszcze wtedy ateistą. Mariawityzm odnalazł w sposób niejako empiryczny i być może jego pierwszym doświadczeniem na tej drodze była właśnie pomoc zaprzyjaźnionym rodzinom żydowskim. Odwracając kolejność przyczynowo-skutkową można by powiedzieć, że został mariawitą, ponieważ już wcześniej był nim w głębi ducha[93].

---

[90] Z tejże rozmowy.

[91] Data deportacji Żydów z Sulejowa.

[92] Oświadczenie Elżbiety Rudnickiej spisane 25 V 1958 r., oraz relacja ks. prof. Konrada Rudnickiego, Kraków 25 X 2007 r.

[93] Z rozmowy z ks. prof. Konradem M. Pawłem Rudnickim, jak wyżej.

Pomoc mariawitów dla Żydów w czasie okupacji wpisuje się jakby naturalnie w całokształt działań mariawickich. Mariawici dawali wsparcie nie tylko Żydom, lecz i tym wszystkim, którzy w danym momencie wsparcia potrzebowali. Ich duchowość zawsze była bardzo mocno związana z rzeczywistością, a postępowanie stanowiło bezpośrednią realizację prawd wiary.

W okresie okupacji żywy był jeszcze przykład i wpływ Założycielki, przez mariawitów uznawanej za świętą, osoby bez wątpienia niezwykłej, o wielkiej sile oddziaływania. A nauczanie Marii Franciszki Kozłowskiej było proste i spójne, i w kwestii niesienia pomocy bliźniemu nie pozostawiało żadnych wątpliwości. W okresie okupacji hitlerowskiej czynni byli jeszcze niektórzy księża – pionierzy ruchu mariawickiego i oni bezpośrednio kontynuowali jej dzieło. Przedstawiona we wstępnej części tej pracy historia mariawityzmu skłania do wniosku, że dwie mniejszości religijne, nawet tak bardzo od siebie odległe, jak mariawici i Żydzi, lepsze miały w Polsce szanse na porozumienie niż którakolwiek z nich z przytłaczającą większością rzymskich katolików. Pewna analogia losów tych dwóch grup religijnych – pogromy, różnego rodzaju szykany, brak akceptacji ze strony szeroko pojętej opinii publicznej mogły być przyczyną solidarności między mariawitami i Żydami. Celem tej pracy było jej zilustrowanie na konkretnych przykładach, ze szczególnym uwzględnieniem lat okupacji i Holokaustu. Praca niniejsza nie wyczerpuje tematu i stanowi raczej pierwszy krok do poznania stosunków mariawicko-żydowskich, które – jak się wydaje – nie cieszyły się dotąd zainteresowaniem badaczy.

Słowa kluczowe
Mariawici, prześladowania, stosunki Żydów i Mariawitów, pomoc Żydom

Abstract
The Mariavite Church is a religious movement which split some 100 years ago from the Catholic Church in Poland. The common fate (the persecution and pogroms of the Mariavites at the hands of Roman Catholics) as well as the Mariavites' tolerance of the other had a marked influence on the development of good relations with the Jews already in the early years of the 20th century and even more so during the interwar period. During the war there were several prominent members of the Mariavite Church who became involved in saving Jews, both as members of Żegota and on an individual basis. To name but a few: Sister Makryna (Natalia Siuta), Bishop M. Franciszek Rostworowski, Rev. M. Szczepan Zasadziński, the Mariavite nuns from Felicjanów, and others. It seems that the Jews sought Mariavites' help assuming that the latter would be more inclined to help than the rest of the local population.

Key words
Mariavites, persecution, Mariavite-Jewish relations, saving Jews.